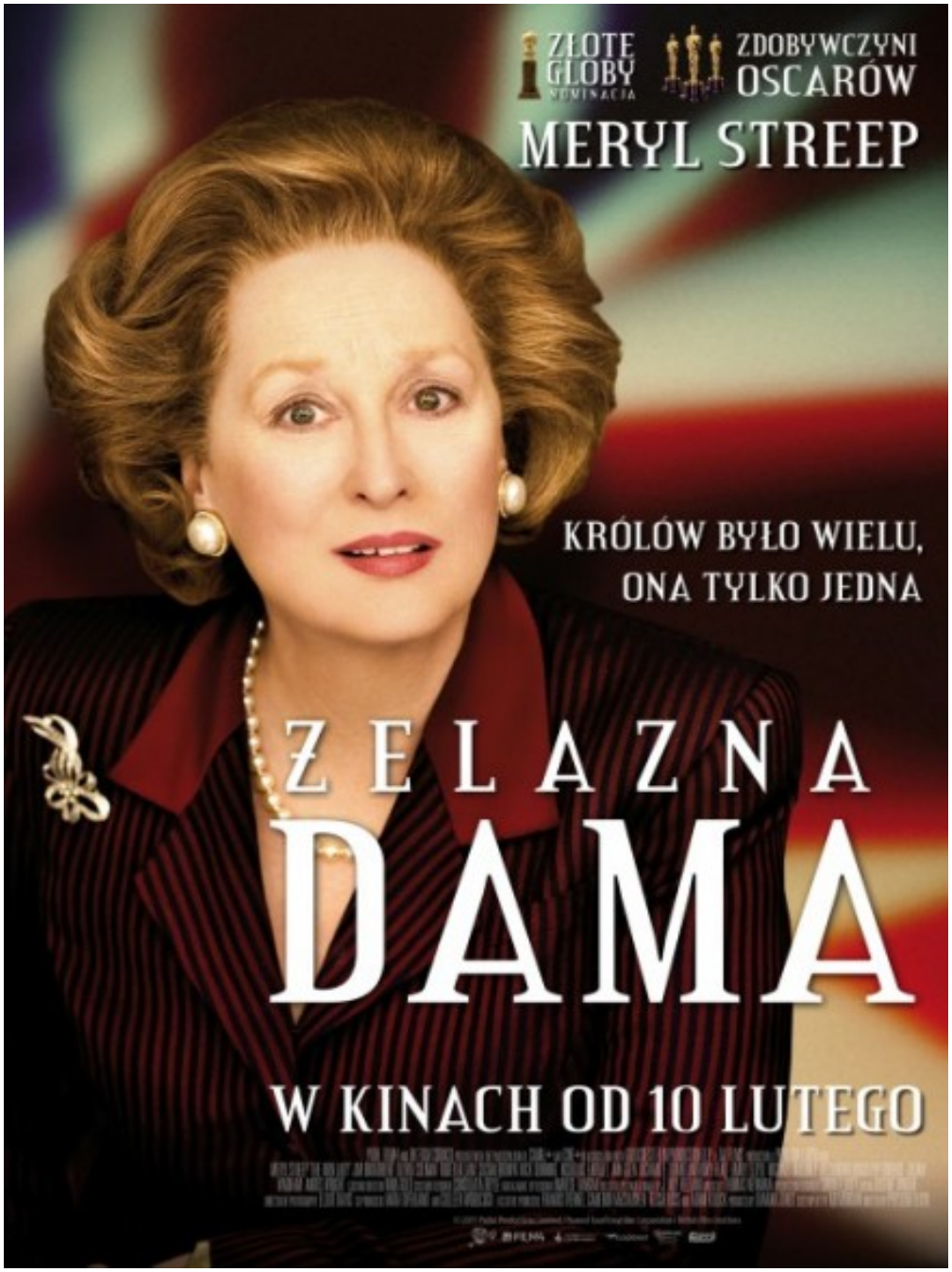


Reżyseria: Phyllidia Lloyd
Scenariusz: Abi Morgan
Premiera: 10 lutego 2012 (Polska), 26 grudnia 2011 (Świat)
Produkcja: Francja, Wielka Brytania
Czas trwania: 1 godz. 45 min.

Niewiele jest we współczesnej polityce równie wybitnych postaci, które odcisnęły tak wielkie piętno na historii swojego kraju jak Margaret Thatcher. Była premier Wielkiej Brytanii jest przy tym osobą pod jednym względem diametralnie odmienną od tylu innych sprawujących dziś władzę bądź walczących o jej zdobycie – niewątpliwie kierowała się w swoich działaniach wyraźnie określonymi zasadami i miała jasną wizję tego co chce osiągnąć. Stanowi to zupełne przeciwieństwo tak popularnej dziś nie tylko w Polsce „polityki sondażowej". W związku z tym co zrobiła oceniana bywa różnie, wiele jej posunięć i dalekosiężnych skutków podejmowanych przez nią działań nadal rodzi sprzeczne oceny. Patrząc z perspektywy czasu, nikt jednak nie podważa jej osobistych kwalifikacji i tego, że jej rządy były pod wieloma względami dla Wielkiej Brytanii przełomowe. Niełatwo zrobić film o takiej kobiecie, w dodatku pierwszej i dotąd jedynej, która piastowała w Zjednoczonym Królestwie urząd premiera, niezależnie od polityki będącej po prostu wielką osobowością. Z drugiej strony, jest to znakomity materiał na film.

Film o Żelaznej Damie, jak ochrzciła ją swego czasu prasa radziecka, bynajmniej nie pałająca do niej ciepłymi uczuciami, od początku wzbudzał zainteresowanie. Powiem z jakimi oczekiwaniami ja na niego szedłem, jeśli jakiekolwiek bliżej sprecyzowane miałem: spodziewałem się czegoś podobnego do „Jak zostać królem". W każdym razie, jako że bywa iż łatwo ulegam sugestiom co do ocen różnych elementów w filmach (to chyba jedna z moich wad jako recenzenta filmowego, jakoś z książkami jest zupełnie inaczej), postanowiłem najpierw obejrzeć i tuż po tym zebrać myśli i swoje wrażenia. Dopiero jakiś czas później poczytałem sobie tu i ówdzie, co piszą na ten temat, zestawiając to z moimi pierwotnymi wrażeniami.

O filmie jedno można powiedzieć na pewno: spotyka się z zupełnie różnymi ocenami, a ich paleta jest bardzo szeroka. Może i to dobrze… Na początek trochę o samej treści. Film nie jest długi. Dzieje Margaret Thatcher ukazane są w formie retrospekcji, czyli mówiąc prościej, spotykamy byłą premier jako staruszkę, w czasach nam bliskich, rok po śmierci męża, a więc gdzieś koło 2004, wracającą w myślach do wcześniejszych okresów swojego życia. Przybiera to formę migawek, nie do końca ułożonych chronologicznie, czasami tylko efektownych obrazków, niekiedy dłuższych sekwencji. Wszystko przeplata się z wydarzeniami dnia codziennego. Margaret cały czas towarzyszy jej mąż Denis – bardzo ważna postać, która co chwilę do niej „przychodzi", niczym duch po śmierci. Margaret chciała by się go pozbyć, a jednocześnie stale tęskni za jego obecnością. Jest on obok głównej bohaterki bardzo ważną postacią dla całości fabuły. Film to mniej więcej jedna doba z życia Margaret. Najkrócej można by to streścić: halucynacje staruszki obracające się wokół jej wielkiej przeszłości, przeplatane elementami życia codziennego.

Pierwsze wrażenie po wyjściu z kina było takie, że odczuwałem pewien niedosyt, ale film mi się podobał. Niedosyt chyba w związku z tym, że trochę czego innego się spodziewałem. Pierwsze, czy jedno z pierwszych, dominujących moich wrażeń było takie, jak premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona (jak później przeczytałem): że jest to film o starości. Ponadto oś filmu stanowią refleksje nad wyborem życiowym głównej bohaterki, która poświęciła bardzo wiele, jeśli nie wszystko karierze politycznej, czy też służbie publicznej, jak to ona ładnie nazywa. I tutaj przewija się kluczowa moim zdaniem postać jej męża, który co

jakiś czas do niej „powraca", komentując wraz z nią różne momenty ich wspólnego życia. Morał jaki film zdaje się tu przekazywać widzowi jest taki: Margaret była wielką osobowością, wielkim politykiem, przetarła szlaki dla kobiet w polityce itd. itp., ale miało to też swoją cenę w jej życiu osobistym. Na starość bohaterka zdaje się snuć refleksje nad tym czy czegoś w pewnym momencie swojego życia nie straciła. Rolę sumienia odgrywa ów powracający w halucynacjach mąż. Cały czas przeplata się to oczywiście z refleksjami nad różnymi posunięciami politycznymi z przeszłości.

Ilościowo i czasowo sceny z „teraźniejszości" pani premier dominują. Zastosowanie chwytu z halucynacjami pozwoliło natomiast na uporanie się lepiej lub gorzej z problemem tego, że film nie wszystkie istotne wydarzenia, które należałoby pokazać, pokazuje. Usprawiedliwiło subiektywny ich wybór w wykonaniu scenarzystki i reżysera (reżyserki). Widzimy szereg ważnych chwil z życia pani Thatcher, jednocześnie wielu rzeczy zabrakło. Jedną z takich, chyba najbardziej rzucających się w oczy, jest brak ukazania relacji jakie łączyły Thatcher z ówczesnym prezydentem USA Ronaldem Reaganem. O jakimś nawiązaniu do swego rodzaju niepisanej współpracy tej dwójki w obaleniu komunizmu z papieżem Janem Pawłem II i tym, że i jego należałoby jakoś tu wspomnieć, nie będę już pisał, choć niektórzy komentatorzy o poglądach prawicowych zwracają na to uwagę.

Dopiero z późniejszych lektur dowiedziałem się również m.in. tego, że reżyser filmu, pani Phyllidia Lloyd jest wysoko notowana na międzynarodowej liście najbardziej wpływowych gejów i lesbijek. Po zastanowieniu się nad pewnymi aspektami filmu, nie sposób nie zgodzić się z niektórymi zarzutami, że poglądy reżyserki miały wpływ na kształt filmu i na to co z życia Margaret Thatcher do pokazania w nim wybrano. Sporo miejsca poświęcono więc wątkom feministycznym – takim jak fakt, że przed Margaret w parlamencie angielskim prawie w ogóle nie było kobiet, że były problemy z damską toaletą itp. Niezwykle produktywny filmowo jest oczywiście wątek wybijania się zwykłej kobiety z prowincji na szczyty życia społecznego.

Jednocześnie powszechny zarzut pod adresem filmu jest taki, że nie zmierzył się on z wieloma problemami politycznymi i poglądami Margaret Thatcher, że nie podjął z nimi dyskusji. W sumie mogę się z tym zgodzić, choć sprawa wydaje mi się trochę bardziej złożona. Z jednej strony w filmie przebija się kilka efektownych stwierdzeń głównej bohaterki, kilka jej zasadniczych poglądów na politykę i świat. Dominuje raczej taka narracja, że ukazywana jest ona jako ktoś kto te „zdrowe" w jego mniemaniu poglądy zaczerpnął przede wszystkim ze swojego wczesnego etapu życia, od rodziców, w tym od ojca sklepikarza. Niewątpliwie trochę spłyca to główną postać. Zastanawiałem się jak najlepiej oddać o co tu chodzi, i wydaje mi się, że najcelniejsze są słowa samej głównej bohaterki: *„Dziś ludzie ciągle tylko mówią, co czują, zamiast mówić, co myślą..."* . Przy okazji, inny cytat, który z wielkim powodzeniem można zadedykować współczesnym politykom: *„Dziś ludzie chcą być kimś, zamiast coś zrobić"*
.

Film właśnie dokładnie taki jest jak mówi ten pierwszy cytat – bazuje na pewnych emocjach, zarysowaniu pewnych wrażeń. I tyle. Nie ma w nim próby wejścia na poziom intelektualny. Pominięta jest w znakomitej większości warstwa umysłowa tego czym przez tyle lat zajmowała się pani Thatcher, jest ona z niej wręcz odarta. Stąd, z jednej strony, film owszem nawet

całkiem sporo przedstawia (dzięki temu pierwsze wrażenie często będzie pozytywne), natomiast z drugiej strony ukazuje jej działania tylko na takim poziomie. Przebija z tego taki obraz kobiety, która odniosła sukces dzięki swojemu niezwykłemu uporowi, zaangażowaniu, pracowitości, legendarnej w jej przypadku, sklepikarskiej zaradności, konsekwencji, ambicjom, sprytowi politycznemu.



Wrócę teraz do relacji rodzinnych państwa Thatcher. Pod adresem filmu padają zarzuty, że wiele wątków, w tym przedstawianie w nim córki pani premier, rozmów z „teraźniejszości" na tematy rodzinne itp. jest co najmniej niestosownych. Kwestią dyskusyjną jest też na ile ukazywanie głównej bohaterki jako podstarzałej pani, nie wszystko już kojarzącej, trochę się trzęsącej i generalnie w tej tonacji, jest adekwatne do stanu rzeczywistego. Niektórzy twierdzą, że podobno nadal ma się ona dziś całkiem nieźle. Natomiast samo to wchodzenie z butami do cudzego domu ciągle jeszcze żyjącej osoby – zwłaszcza w kontekście przedstawiania córki pani premier – i to miejscami można powiedzieć trochę intymne, oceniane bywa negatywnie.

Przyznam, że powyższe nie zwróciło jeszcze mojej uwagi, przynajmniej nie na tyle, bym się tym dał zbulwersować. Co innego jeśli chodzi o życie Margaret Thatcher i jej męża wydaje mi się jednak grubym nadużyciem. Co więcej, czytając kilka recenzji nigdzie nie znalazłem na ten temat ani słowa. Chodzi o samo zakończenie, gdy „duch Denisa" odchodzi. Margaret, która

początkowo chciała się go pozbyć, woła za nim, żeby nie odchodził i nie zostawiał jej samą, na co Denis odpowiada, w typowym dla niego, żartobliwym stylu: *„Spokojnie Kochanie, na pewno sama sobie poradzisz. Przecież zawsze tak mówiłaś”*
. Mimo daleko posuniętej ironii, jednak brzmi to trochę gorzko. Całość daje do zrozumienia, że była ona kobietą, która właściwie nigdy nie miała czasu dla rodziny, w tym dla swojego męża, i teraz na starość tego żałuje. To wydaje mi się nadużyciem i na zdrowy rozsądek nieprawdą. Weźmy pod uwagę tylko następujące fakty: Margaret Thatcher przestała być premierem w 1990 roku, zaś jej mąż zmarł w 2003. Trudno, żeby będąc już byłą premier i będąc de facto na emeryturze przez te 13 lat była tak zajęta by nie znajdować czasu dla męża. W tym miejscu fabuła filmu wydaje mi się najbardziej naciągana i przykrawana do z góry założonego schematu. Jest to też bez wątpienia daleko idące wkraczanie w prywatność żyjącej przecież wciąż osoby, i to dużo bardziej niż mimo wszystko dość powierzchowne kwestie jej „współczesnych” relacji z córką.

Pora na parę słów o grze aktorskiej. W zgodnej opinii wielu Meryl Streep wypadła znakomicie. Niektórzy twierdzą nawet, że jej gra w gruncie rzeczy ratuje ten film, który sam w sobie nie jest zbyt udany. Nie będę tu oryginalny, mogę się tylko podpisać pod wysokimi ocenami dla odtwórczyni głównej roli. Myślę, że samo to jak zagrała Margaret Thatcher sprawia, że warto na ten film pójść, mimo różnych jego słabości. Bardzo dobrą kreację męża pani Thatcher Denisa stworzył Jim Broadbent. Patrząc na ich dialogi, widać, że jeśli chodzi o charaktery byli pod wielu względami przeciwieństwami. Ona – uparta, zasadnicza, z silnym poczuciem obowiązku, misji, służby, władcza, nadopiekuńcza, trochę niepotrafiąca cieszyć się życiem (tak, tak – to jedna z tych cech, którą obdarza ją scenariusz, by pasowała do „schematu”), on – z poczuciem humoru, ironiczny; w sumie najlepiej wszystkie jego cechy można streścić jednym słowem: wyluzowany. Zderzenie dwóch takich osobowości samo w sobie daje efekt komediowy. Mamy więc sceny tego typu, gdy Margaret rozważa w „poważnej” zadumie swoje niektóre posunięcia polityczne, które następnie Denis komentuje w swoim stylu.

Podsumowując, na film warto pójść dla samego filmu. Dla świetnej gry aktorskiej, dla wspomnianego wyżej ciekawego zderzenia charakterów, dla tego by poczuć pewne emocje, zobaczyć „Thatcher jak żywą”, bo w jej wierne zagranie Meryl Streep włożyła sporo wysiłku i chociaż nie jestem tu żadnym znawcą (chyba mało kto jest), to w filmie to widać, dla emocji. Jeśli chodzi o fabułę, jest to raczej swobodna fantazja na temat życia byłej premier, której osoba jest bardziej punktem odniesienia dla rozważań o starości, sensie życia i tym jak zmienił się świat w ciągu ostatnich trzech dekad. Mimo wszystko, mi się podobało i sądzę, że warto ten film zobaczyć, choćby z uwagi na samą grę Meryl Streep i Jima Broadbenta. Swoją drogą, jak zapewne niejednego widza, nurtuje mnie pytanie, co na temat filmu miałaby do powiedzenia główna bohaterka, czyli Margaret Thatcher.

Autor: *Raleen*

Opublikowano 25.02.2012 r.